

„Russian Impossible” – trzeci tom cyklu „Moherfucker”

*Hakerka i współpracownica MSW usiłuje aktywnie wesprzeć działania Stocharda i Sukonina...*

„...Samochód, łada ósemka, zaparkowany był za rogiem. Nadieżda wsiadła, włożyła w uchwyt wyjęty z torby GPS i zadała adres. Chwilę czekała na fix, sprawdziła destynację, ruszyła.

O tej porze miasto powoli spowalniało rytm. Wyludniały się sklepy, pustoszały chodniki, w ogródkach knajp siedzieli nie młodzi niecierpliwi piwosze, ale stateczniejsi, bogatsi i nieśpieszący się nigdzie burżuje i mieszczenie. Przede wszystkim – turyści. Wenecja Północy chłoneła ich, ich pieniądze, zapachy, wygląd.

Nadia nie śpieszyła się. Oczywiście, zmrok nie zapadnie, nie pomoże jej ciemność, ale ludzki biorytm silniej reagował na zegarek niż na światło dnia o tej porze doby. Dotarła na przedmieścia. Od rogu Prospektu Weteranów i Kozłowa poszła pieszo. Oczywiście, GPS, powędrował pod fotel, razem z uchwytem. Po co kusić licho?

Po prawej miała park, po lewej – wysoki mur z segmentów, rozdzielonych kolumnami z kulami na szczycie. Ciągnął się dobre sześćdziesiąt metrów. Skręciła w lewo, wzdłuż tego samego muru. Po pięćdziesięciu metrach minęła bramę, wzór solidności, trwałości i starannej konserwacji. Wygląd bramy napawał poczuciem bezpieczeństwa, wiele podobnych bram w Pitrze miało wiszące krzywo skrzydła, wyłamane zamki, zardzewiałe łańcuchy służące za zamknięcie. Ta nie. Ta mogła stawić czoło rozpędzonej tankietce. Dlatego Nadia nawet nie przyglądała jej się szczególnie. Furtka obok, furta, furcisko raczej, tworzyła prostokąt chyba centymetrowej stali z zawiasami i zamkami odbierającymi chęć forsowania ich.

Mur ciągnął się cały kwartał. Nadia znowu skręciła w lewo. Klinika Rustama Terchiwadzega zajmowała ponad pół hektara, co, biorąc pod uwagę cenę gruntów w Sankt

Petersburgu, stawiało go w gronie stu albo i pięćdziesięciu najbogatszych ludzi w Pitrze. Wreszcie mur skończył się zaczęło zupełnie inne ogrodzenie. Niby kute, ale półtora wieku temu, i poza pierwszym malowaniem już niekonserwowane, pręty-sztachety pokrywała wilgotna rdza. Ulica była pusta, za ogrodzeniem nie czekały psy, stare krzewy i drzewa kryły zabudowania, jeśli w ogóle jakieś tam były. Nadia oparła stopę na podmurówce i porządnie przewiązała sznurówki jednego i drugiego buta. Przy okazji obrzuciła uważnym wzrokiem obie strony ulicy. Pusto.

Szarpnęła jeden z prętów, cicho zgrzytnął i puścił na górnym łączu, szybko odgięła go, przedarła się przez okaleczone ogrodzenie, dogięła pręt z powrotem. Starając się nie hałasować, sforsowała szpaler krzewów, rozejrzała się. Po prawej, za drzewami stał drewniany dom, nie do uratowania. Przypominał starego schorowanego człowieka – krzywe ściany, kose okna, zapadające się schodki na werandę. Mało interesujące.

Po lewej mur. Znowu solidny, wysoki, od tej strony nie tak zadbane jak od ulicy. Cegła, w dobrym stanie, ale cegła. Na szczycie pojedynczy ciąg drutu kolczastego. Przespacerowała się wzdłuż muru, zatrzymała przy sągu stosunkowo świeżych bali brzoźowych, przełożyła pasek torby przez ramię i wyjąwszy jedną kłodę, oparła ją ukośnie o cegły. Usiadła z całej siły na balu, nie ugiął się, nie pękł, odeszła więc kilka kroków, wzięła rozbieg, dwoma susami zręcznie pokonała pochylnię i wylądowała piersią na krawędzi muru. Wsunęła głowę pod drut kolczasty i rozejrzała się na boki.

Przed sobą miała park. Starannie utrzymane wąskie alejki, wijące się wśród zieleni. Ławki nowe, porządnie polakierowane, wygodnie wyprofilowane, obok każdej i co dwadzieścia metrów latarnia, stylizowana na starą. Nie widać żywego ducha, ale gdzieś zza drzew dobiegał refren *Bésame mucho*, nieśmiertelnego przeboju Consueli Velázquez. Piosenkę napisaną siedemdziesiąt lat temu wykonywały na szczęście nie dwie czy trzy lesbijowate pindeczki, tylko głęboki baryton. Dobry i wyszkolony.

Nadia odczekała refren, drugą zwrotkę, a gdy baryton ponownie zażądał „całuj mnie mocno”, przełożyła jedną nogę pod drutem, ostrożnie przesunęła szczupłe ciało i zsunęła się na trawnik, pod krzew czarnego bzu, i znieruchomiała. Nic się nie działo. Ruszyła wzdłuż muru, blisko krzewów i drzew, torbę przewiesiła przez ramię, nie do biegu, zdawała sobie przecież sprawę, że nie wydestanie się stąd, polegając na szybkości nóg. Po kilkudziesięciu krokach doszła do alejki prowadzącej prosto do budynku. Bił w oczy świeżą farbą, szykiem, mieszanką starego dobrego arystokratycznego stylu i lekkiego stonowania przesadnych ozdób. Ta alejka jej się nie podobała, szybko ją przekroczyła i ruszyła dalej.

Następna była ciekawsza – prowadziła do ewidentnie służbowej części kliniki. Na podjeździe stała furgonetka, dwa motocykle, w drewnianym boksie dostrzegła plastikowe granatowe skrzynie i czerwone zamykane pudła. Odczekała chwilę. Zerknęła na zegarek. Siódma z minutami. Pora kolacji? Możliwe, bardzo możliwe. Przekroczyła i tę alejkę i kryjąc się za zielenią, zbliżyła do budynku. Nie było widać żywego ducha, co czyniło domysł Nadii o porze posiłku bardzo prawdopodobnym. Przy ostatnim krzewie, który mógł ją osłonić, odczekała chwilę, niedbale przerzuciła torbę przez ramię na plecy i z miną jakby pogwizdywała, ruszyła ku podwójnej szerokości drzwiom dostawczym.

Były otwarte. Weszła w korytarz, zobaczyła windę towarową, drzwi z napisami „Zmywalnia”, „Magazyn suchy”, „Magazyn III”, „Kotłownia”. Ruszyła korytarzem obok windy. Mijając poszczególne drzwi, przystawała i nasłuchiwała. Wyglądało na to, że w tej chwili na dole nie był nikogo. Na końcu korytarza znajdowały się schody. Bezszelestnie zaczęła wchodzić na górę. Półpiętro, wyżej, drewniane drzwi z matowymi szybkami. Za nimi ktoś był – rozmazany cień wolno przesunął się przez tafle piaskowanego szkła, serce Nadii podskoczyło. Cień przesunął się i zniknął.

Kelnerka z wózkiem albo jakiś chory, pomyślała. Co tam jest? Jadalnia czy korytarz? Raczej korytarz. Nie mogliby sobie pozwolić na przenikanie jakichś zapachów z dołu do

jadalni. A może tylko kuchnia i inne służbówki? Kuchnia też nie powinna psuć swoimi wzywami apetytu delikatnym pacjentom. W Sieci nie było planów budynku, to też zastanawiające...

Mogła pójść wyżej, na drugą kondygnację, ale logika podpowiadała jej, że jeśli tu, na służbowym piętrze, pod warunkiem że to służbowe piętro, mogła udawać kuriera, nową pokojówkę czy kelnerkę, to wyżej, w enklawie pacjentów, pewnie w drogich peniuarach i szlafrokach, z zabandażowanymi nosami i czerepami po przeszczepie włosów, może udawać tylko odwiedzającą kogoś siostrzenicę. Jeśli tu nie było odwiedzin albo tylko w dni parzyste?

Dotknęła klamki, odczekała chwilę, nacisnęła ją. Zamknięte na klucz.

Szybko sięgnęła do torby, wygrzebała prostokątne etui, otworzyła i wyjęła wytrych. Po naciśnięciu wysunął się sztyft, który włożyła do dziurki od klucza i nacisnęła drugi guzik. Wytrych poruszył się w jej dłoni, cicho szcęknął zamek. Schowała wytrych do torby, zasunęła, zostawiając mały otwór, odczekała chwilę, nacisnęła klamkę i weszła... na korytarz. Odetchnęła z ulgą. Z lewej słychać było ciche dzwonienie, jakby ktoś potrząsał pojemnikiem ze sztuczkami. Przyjęła, że tam jest kuchnia. Poszła w prawo. Drzwi po prawej i lewej nie miały tabliczek z opisami. Dotarła do kolejnych przeszklonych. Szybko wyjęła wytrych i po chwili była już za następną zaporą. Tu, ku jej radości, drzwi miały opisy. „Magazyn środków opatrunkowych”, „Magazyn leków”, potem drzwi z rzymską jedyneką, dwójką i trójką. Ostatnie po prawej miały napis „Archiwum”.

To coś dla mnie! – ucieszyła się.

Tym razem wytrych dłużej, denerwująco, irytująco i przerażająco długo gmerał swoimi wypustkami w zamku, podołał jednak. Błyskawicznie znalazła się w środku i rozejrzała za możliwością zablokowania klamki, ale krzesła były za niskie, szafy za ciężkie, a zamykać się na klucz nie chciała. Przesunęła jedno krzesło, by przynajmniej szuraniem przy otwieraniu wszczęło alarm i rozejrzała po pomieszczeniu. Na środku stało proste biurko, na

którym nie było nic poza klawiaturą z myszką i monitorem. Wzdłuż ścian znajdowały się masywne drewniane szafy, udające przedrewolucyjne meble, ale zamiast zamków miały dwunastopunktowe klawiatury, dziesięć cyfr i dwa klawisze funkcyjne – „Enter” i „Kasuj”. A kody?

Przysunęła do pierwszej z brzegu szafy krzesło, położyła na nim wyjęty z torby tablet, a raczej to, co tablet udawało, spiralnym kabelkiem podłączyła do niego końcówkę skanera i delikatnie przysunęła ją do zamka. Ekran tabletu pokryła delikatna spleciona sieć, raczej kłęb czegoś. Kłęb niemrawo falował, drgnęło coś w lewym górnym rogu.

*Nu, dawaj!* – ponagliła Nadia.

Ale linie nie prostowały się. Po minucie coś się ruszyło, widocznie skaner przechwycił sygnał logujący zamka, teraz niemożliwe stało się nie tak niemożliwe. A po chwili stało się możliwe.

Szafa psyknęła i odsłoniła wnętrze.

Puste.

Nadia zaklęła w duchu, przestawiła krzesło pod drugą z kolei szafę, zerknęła na ostatnią, albo pierwszą z drugiej strony i zabrała się do jej otwierania. Poszło szybko i fartownie: tu znajdowały się płytki CD, ośmiocentymetrowe nowoczesne nośniki, czarne, z ftalocyjanianowym pigmentem. Przygryzła dolną wargę. Płytek było na oko kilkaset, skopiowanie ich nie wchodziło w grę, zajęłoby tygodnie. W następnych szafach mogło ich być tyle samo. Wyjęła kilka z nich. Opis był kodowany, jedyne, co mogło być pomocne, to kończący kod rok. Zastanowiła się chwilę i na chybił zaczęła trafić wyjmować małe czarne krążki z pudełek i wrzucać do torby. Trochę z tego roku, kilka z ubiegłego i tak po kolei. Załadowawszy około czterdziestu krążków z ośmiu ostatnich lat, zamknęła szafę, podeszła do trzeciej od końca, otworzyła ją, by przekonać się, że jest pusta.

Czyli tylko ostatnia szafa mieści dane, pozostałe stoją dla picu. Albo czekają na obfitsze lata, uznają.

Schowała sprzęt do torby, rozejrzała się po pokoju. Nic po sobie nie zostawiła. Teraz należało pomyśleć o sposobie wycofania się. Przemknęło jej przez myśl, że może fajnie by było zadzwonić do przełożonego i... I? I co – wejdzie bez nakazu i wyprowadzi swojego człowieka? Odpada.

Trudno. Jak się weszło między wrony, to trzeba też spomiędzy nich umieć wyjść. Uśmiechnęła się krzywo i podeszła do drzwi. Nasłuchiwała chwilę.

Cisza.

Baryton umilkł dawno temu. Nikt inny nie zakłócał ciszy. Nieprzyjemnej.

Musnęła klamkę dłonią, nacisnęła i uchyliła drzwi. Pusto.

Wyjrzała w prawo i zobaczyła lufę rewolweru wpatrującą się swoim jedynym okiem w środek jej czoła.

Za lufą zobaczyła ptasie oblicze chudego przygarbionego łysola w mocnych szklach.

Wada wzroku w tym przypadku, na tę odległość, przy tym kalibrze broni nie miała znaczenia. Nawet kret, jednooki kret, ulokowałby pocisk tam, gdzie by chciał.

W tym przypadku w środku jej czoła.

- Czego chcesz? – zapytała bezczelnie.

- *Nu, ty suczka, dajosz!* – Okularnik pokręcił głową, ale dłoń, trzymająca broń, niczym stabilizowana żyroskopowa lufa czołgu, nie poruszyła się ani o milimetr. – Nie będę cię pytał, co tu robisz, bo gównu mnie to obchodzi. Nie pytam cię, co masz w torbie, bo za chwilę będę to miał na własność. Szkoda, że tak krótko pożyłaś.

- Nie śpiesz się, Rustam nie będzie zadowolony, że nie pogadaliśmy.

- A chuj z Rustamem! – Szczerze wyznał, jaki ma stosunek do właściciela kliniki. –

Kogo on obchodzi?

- A ja ci mówię, że obchodzi. Szkoda mi życia, ale będę umierała zadowolona, że już za chwilę dogonisz mnie w świetlistym tunelu.

Okularnik rozważał chwilę pobyt w windzie do nieba.

- Rzuć torbę – poleciał.

Nadia posłusznie postawiła torbę na zalakierowanej do lodowatego błysku podłodze i uniosła ręce do góry. Całkowicie wyprostowane, jakby chciała uchwycić się poprzeczki i podciągnąć na niej. Okularnik obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

Przedramię Nadi zetknęło się z *blootouth* w uchu, wdusiło przemodelowany przez znajomego elektronika przycisk.

- Popchnij torbę do mnie – rozkazał okularnik.

Posłusznie wykonała polecenie.

- Chcę rozmawiać z Terchiwadzem – powiedziała głośno. – Albo z kimś ważniejszym. Mogę wykupić swoje życie, to się opłaci wszystkim stronom.

- *Aga!* – zakpił okularnik.

Lufa rewolweru wyprysnęła do przodu i uderzyła Nadię w czoło. Jęknęła, głośno, żeby było słychać w telefonie. A okularnik zbliżył się o pół kroku i wpakował kościstą twardą pięść w brzuch dziewczyny. Jęknęła, tym razem cicho, bo zabrakło jej tchu, jakby całe powietrze świata znalazło się poza jej zasięgiem. Osunęła się na kolana, kiwnęła, starając jednak złapać trochę tlenu. Oprawca sięgnął do jej ucha, zdał *blootouth* i cisnął na podłogę. Podeszwa jego buta migiem rozprawiła się z kruchą elektroniką. Chwycił dziewczynę za włosy i trzasnął twarzą o swoje kolano.

- *Ni chiera siebie* – mruknął, puszczejąc włosy, dziewczyna bezwładnie zwała się na podłogę, mocno uderzywszy skronią o twarde deski. – *Nie skażu, pulku w łob poluczcu. Skażu – otpizdiat i toże pulku w łob, a to i chuże... Blad', szto diełat?*<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> *Nie skażu, pulku w łob poluczcu. Skażu – otpizdiat i toże pulku w łob, a to i chuże... Blad', szto diełat?* (ros.) - Nie powiem, dostanę kulkę w łeb. Powiem – też wpierdola kulkę w łeb albo i

---

gorzej... Kurwa, co robić?